



NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr - 12 stron

Warszawa, 4 lutego 1951 r.

Nr 5 (45) Rok II

W NUMERZE m. in.: Włodzimierz Sokorski — Jeszcze o „języku artystycznym“ i o realistycznych środkach wyrazu; Praca pisarza; Kazimierz Wojciechowski — Nauka, kultura i sztuka w dodatkach do gazet; Julian Stawiński — O słowo trafne, barwne i ważne; Edmund Bora — Ahmadnagar Fort się mści; Percy B. Shelly — Do Anglików; Anglia w roku 1819; Alfred Degal — Młodość geniusza; Aleksander Kowalenkow — Rzeka; Jarosław Smieliakow — Majowy wieczór; Lesław M. Bartelski — Wybory; Stanisław Ryszard Dobrowolski — Młodzian piękny i posępny; Jerzy Hordyński — Matce; Listy ochotnika; Winceny Mackiewicz — Epoka ludzi podwójnych; Pożyteczna działalność wydawnicza; List z Przemysła; Wśród książek; Bohdan Węsierski — Klasyczne dzieło filmowe; Z sal koncertowych; Jerzy Juranot — Mówcy.

HENRYK KASSYANOWICZ

Eisenhower, Adenauer, Ollenhauer

W LISTOPADZIE ub. roku wiele hałasu wywołały artykuły znanego amerykańskiego publicysty Lippmanna w sprawie remilitaryzacji Niemiec Zachodnich. W istocie jednak te twierdzenia zawarte w tych artykułach miały posmak rewelacji, ale raczej fakt, że raz po raz pierwszy bodaj na łamach czołowego dziennika amerykańskiego i piórem tej miary publicysty co Walter Lippmann przedstawione zostały otwarcie warunki, na jakich rekcja niemiecka i niemieckie wojskowe zgodziłyby się wziąć udział w amerykańskich przygotowaniach wojennych.

Po prostu Lippmann — po odbyciu podróży po Niemczech Zachodnich i rozmowach przeprowadzonych w Bonn, Frankfurtu i Monachium — powtórzył na szpaltach „New York Herald Tribune“ to co mu nakładali w uszy oficjalni i nieoficjalni przedstawiciele reakcji niemieckiej. Od siebie Lippmann dodał uwagi krytykujące jednakże nie stanowisko „rządu“ zachodnio-niemieckiego, ale przede wszystkim jego zdaniem — politykę Departamentu Stanu, a pośredniczników rządu Francji i Anglii, których zadaniem było i wahać się opanować polityczną Niemiec Zachodnich.

Ponieważ trudno przypuścić, aby Departament Stanu i amerykańskie wojsko nie znalazły ceny, za jaką reakcja zachodnio-niemiecka gotowa byłaby wziąć udział w amerykańskich planach wojennych — gdyż pod tym względem w tajnych konszachtach między Adenauerem i Schumacherem a rządem USA postawione zostały prawie wszystkie kropki nad — zastanowić się trzeba raczej nad faktem, dlaczego warunki niemieckie zostały przedstawione tak otwarcie i dlaczego akurat teraz?

Otóż przypominamy, że artykuły Lippmanna ukazały się w „New York Herald Tribune“ w przed-

dniu nominacji Eisenhowera na naczelnego dowódcę armii „atlantyckiej“. A Eisenhower na długo przed swą nominacją i przed przybyciem do Europy miał niewątpliwie wyrobiony pogląd na sytuację. Wbrew wszystkiemu co mówił w Paryżu, Londynie, Brukseli czy Rzymie, Eisenhower — jak sędzić można — zdawał sobie sprawę, że potencjał militarny ofiarowywany mu przez rządy Francji, Anglii, Włoch i całej reszty sygnatariuszy paktu atlantyckiego jest o wiele za mały. Więcej. Pobyt w Paryżu, Brukseli i Rzymie przekonał go ponadto, że w miarę konkretyzowania się amerykańskich planów wojennych, potencjał ludzki, jaki mogłoby zaoferować mu sygnatariusze paktu atlantyckiego, będzie coraz mniej pewny. W istocie rzeczy, siły, którymi rozporządzają reakcyjne rządy Francji, Włoch czy Belgii — w mniemaniu Eisenhowera — nadają się raczej do akcji policyjnej, akcji przeciwko własnemu narodowi, przeciw nieuzbrojonej ludności, ale stanowczo nie nadają się do wykonania amerykańskich agresywnych planów. Partnerem, na którego imperializm amerykański może w pełni liczyć, są — poza Turcją, Titowską Jugosławią czy Grecją, stanowiącymi flanki agresywnego frontu antyradzieckiego — jedynie neohitlerowskie Niemcy Zachodnie.

Toteż nie Paryż, nie Londyn czy Rzym były istotnym celem podróży Eisenhowera — ale Frankfurt nad Menem. I nie rozmowy z Plevnem, Attlee czy Gasperim, nie rozmowy z francuskimi czy angielskimi wojskowymi wpłyną ostatecznie na charakter realizacji planów amerykańskich, ale właśnie stanowisko Niemiec Zachodnich. Faktycznie więc podróż Eisenhowera do Frankfurtu przedsięwzięta została celem zawarcia ponad głowami pozostałych sygnatariuszy paktu atlantyckiego, wbrew ich wahaniom i wątpliwościom — wojskowego sojuszu

między rządem Stanów Zjednoczonych a Niemcami Zachodnimi, i to na warunkach przedstawionych przez zachodnio-niemiecką reakcję.

Lippmann przedstawiając te fakty czytelnikowi amerykańskiemu w sposób jasno sprecyzowany — jakkolwiek w konkluzji sam dochodzi do wniosku, że najsluszniejszą taktyką amerykańską winna być gra na zwłokę — wyświadczył reakcji niemieckiej cenną przysługę. Wywalił na wpół otwarte drzwi i ujawnił, za jaką cenę dojrzeć może ostatecznie agresywny sojusz między oboma kontrahentami.

A teraz wystarczy porównać warunki przedstawione Waszyngtonowi przez reakcję niemiecką za pośrednictwem przywódcy niemieckiej socjaldemokracji Schumachera — bo właśnie on sprecyzował je w formie najbardziej przejrzystej — z zawartymi w frankfurckich wypowiedziach Eisenhowera obietnicami i z dyplomatycznymi posunięciami „rządu“ w Bonn, aby stwierdzić, że kontrahenci dogadali się ostatecznie.

Schumacher powiedział, że jego partia nie uzna w żadnym wypadku granic na Odrze i Nysie Łużyckiej jako stałej granicy między Polską i Niemcami i obali każdy rząd, który by ośmielił się podpisać podobny układ. I oto Adenauer, przy pełnym poparciu rządów zachodnich (jak wiadomo, „rząd“ w Bonn nie ma prawa składać bez porady z Niemcami z wysłannikami komisarzami mocarstw okupacyjnych żadnych oficjalnych deklaracji dotyczących polityki zagranicznej) odrzuca znane propozycje premiera Grotewohla, motywując to właśnie faktem uznania przez rząd Niemieckiej Republiki Demokratycznej granicy na Odrze i Nysie za trwałą i ostateczną. Tego rodzaju oświadczenie Adenauera — przywódcy partii, której głównym celem jest rewizja granic — nie jest oczywiście rzeczą nową. Pamiętać wszakże należy, że

swoją deklarację złożył Adenauer bezpośrednio przed wizytą Eisenhowera w Niemczech Zachodnich, aby nie było żadnej wątpliwości, iż zawarty we Frankfurcie agresywny sojusz oparty będzie na zasadzie całkowitego poparcia rządu USA dla niemieckich planów rewizjonistycznych.

Jako następny warunek udziału Niemiec Zachodnich w amerykańskich planach postawił Schumacher żądanie pełnej rehabilitacji hitlerowskiego Wehrmachtu — i oto tenże Eisenhower, który przed pięcioma z górą laty powiedział, iż „zwycięstwo nie będzie całkowite, dopóki hitleryzm nie zostanie zupełnie wykorzeniony“, obecnie oświadczenie rehabilituje hitlerowskich zbrodniarzy w mundurach stwierdzając, że „nic nie stoi na przeszkodzie temu, aby stanęli oni ramię w ramię z żołnierzami armii amerykańskiej“ w czasie planowanej wojny.

Eisenhower zgodził się także skwapliwie na uznanie równoprawności odbudowywanego Wehrmachtu z innymi partnerami paktu atlantyckiego, a w praktyce — na supremację neohitlerowskiej armii zachodnio-niemieckiej nad nimi. Tym samym wszelkie kombinacje Plevna usiłującego nie dopuścić do przejścia przez niemieckich militarystów kierownictwa wojskowego w Europie Zachodniej zostały ostatecznie przekreślone. Skwapliwość Eisenhowera w uznaniu tego rodzaju pretekstu zachodnio-niemieckich wojskowych jest wszakże zrozumiała z dwóch względów. Po pierwsze, supremacja zachodnio-niemiecka w „atlantyckim“ sztabie — zdaniem Eisenhowera — pozwoli mu na ostateczne przewyższenie wahań rządów Francji i Anglii i pomoże w przekształceniu armii „atlantyckich“ w istotnie efektywne narzędzie agresji — jak dotąd bowiem, pomimo wysiłków posłusznych marionetek, armie te nie wykazują nadmiernej ochoty do umiarkowania w okronie amerykańskich interesów. Po drugie, fakt, że Eisenhower tak bardzo idzie na rękę politykom z Bonn, pochodzi również stąd, że Stany Zjednoczone nie mogą wypełnić dalszego żądania reakcji niemieckiej. Mianowicie, nie tylko nie mogą zagwarantować Schumacherowi — jak tego żąda — że wojna przeniesiona zostanie za Odrę i Nysę, a nawet za Wisłę, lecz odwrotnie — Eisenhower nie może go nawet zapewnić, że istnieją w wypadku wojny jakiejkolwiek realne szanse utrzymania linii frontu na Renie. Innymi słowy, Stany Zjednoczone nie są gotowe i długo nie będą gotowe wysłać do Europy takiej armii, która by mogła aktywnie wesprzeć Wehrmacht. Wyrażenie Eisenhowera o wspólnej walce ramię przy ramieniu jest raczej symboliczne, gdyż to właśnie Wehrmacht stanowił ma czołową siłę i taran agresji. Amerykańscy stratedzy gotowi są jedynie obiecać „rządowi“ w Bonn, że w razie odwrotu amerykańskie superfortece z bogatej ziemi zachodnio-niemieckiej uczynią spaloną ziemię — „scorched earth“ — podobnie jak to obiecuja Francuzom, Belgom czy Holendrom. Ale jak wiadomo, ta właśnie perspektywa przeraża, posłuszne skądinąd i solidaryzujące się ze Stanami Zjednoczonymi, rządy zachodnio-europejskie. I nie mniej przeraża też reakcję zachodnio-niemiecką.



General i jego adiutant

li tylko dzięki poparciu amerykańskich bagnetów, może bardziej jeszcze niż francuska czy włoska obawia się szantażowych gróźb amerykańskich neozolacjonistów i nie ma... wyboru.

W ten sposób w czasie pobytu Eisenhowera we Frankfurcie zawarty został — jak powiedziano wyżej — faktyczny sojusz wojskowy i całkowite porozumienie polityczne między agresywnym imperializmem amerykańskim, a w pełni zrehabilitowanym i przywróconym do praw militarnym niemieckim. Na przyjęciu nie brakowało też nikogo. Oprócz kanclerza z Bonn, Adenauera, i szefów rządów prowincjonalnych, obecny był także zastępca Schumachera, Ollenhauer, oraz generałowie hitlerowskiej Speidel i Heusinger. Reakcyjny Berlin zachodni reprezentowała Luiza Schroeder. Obecność Ollenhauera dowodzi też, że ten antyradziecki i antypolski układ, na mocy którego reakcja niemiecka za kontyngent landsknechtów kupiła sobie amerykańskie poparcie dla swych rewizjonistycznych, zaborczych planów — aprobowany został całkowicie przez zdradzieckich przywódców niemieckiej socjaldemokracji. Obok generała Speidela — reprezentanta hitlerowskiego Wehrmachtu, przywódca klerykalnej reakcji Adenauer. A obok nich, dla kompletu właśnie Ollenhauer. Czyż trzeba jeszcze dosadniejszych słów dla określenia celów, istoty i charakteru tej spółki?

Celem tym jest — proklamowana już bez żadnych niedomówień — agresja przeciw Polsce, przeciw granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, jak również przeciw Niemieckiej Republice Demokratycznej, która właśnie na zasadzie nienaruszalności tej granicy ugruntowała pragnie istnienie i przyszłość nowych, pokojowych Niemiec. Koszty przygotowywanej wojny rozłożone mają być wszakże na wszystkie narody bloku atlantyckiego. Burżuazja francuska i angielska, przedź niż mogły się spodziewać, widzą odradzanie się imperializmu niemieckiego. Jeszcze niemiecki militarysta nie został całkowicie odbudowany, a już nie tylko stawia warunki, ale wręcz domaga się angielskiego i francuskiego „wkładu“ w realizację swych odwetowych planów. Obiektywnie rzecz biorąc, jasne jest, że rządy Francji i Anglii niewiele już mają możliwości ławowania i opierania się presji amerykańskiej, ale wydarzenia polityczne na tle wizyty Eisenhowera w Eu-

ropie Zachodniej dowodzą, że nie do rządów państw bloku atlantyckiego, lecz do narodów tych krajów należeć będzie ostatnie słowo.

Dlatego też, o ile brak entuzjazmu u rządów bloku atlantyckiego dla amerykańskich planów zapewnienia militarystom niemieckiemu pierwszego miejsca wśród europejskich wasali Waszyngtonu nie stanowił dla Eisenhowera wielkiej niespodzianki, o tyle zaskoczył go i zaniepokoił stan nastrojów mas ludowych w Europie Zachodniej, nie wyłączając Niemiec. Takiej zdeterminowanej postawy ludności Francji, Włoch i Niemiec, przeciw amerykańskiemu planom nie spodziewał się. Opór satelickich rządów łatwo złamać, można także uspokoić braki w uzbrojeniu, ale daleko trudniej uczynić z narodów Europy Zachodniej zaciężną armię i zmusić je do walczenia i umierania na skłanianie amerykańskiego wielkocząłku. O ile więc Eisenhower po powrocie do Waszyngtonu mógł zaraportować Trumanowi, że opór rządów zachodnio-europejskich udało mu się przełamać, o tyle donieść mu także musiał, że opór mas ludowych tych krajów nie tylko nie będzie malał, lecz będzie wzrastał. Okrzyki „Eisenhower go home“ wszędzie, gdzie tylko się zjawiał, dały mu niewątpliwie wiele do myślenia.

Udział w spisku wojennym we Frankfurcie brały wszakże nie tylko wymienione wyżej czynniki. Adenauer reprezentował bowiem na konferencjach z Eisenhowerem nie tylko reakcję niemiecką, lecz także — najbardziej w stosunku do zachodnich granic Polski wrogo ustosunkowany — Watykan. Rzec można, że konsekwentnie realizowana wroga polityka watykańska w stosunku do Polski i narodu polskiego znalazła wyraz właśnie w tym spisku uknutym do spółki z byłymi generałami hitlerowskimi i amerykańskimi ich protektorem.

Wystarczy przypomnieć tutaj kilka faktów z historii ostatnich 25 lat, aby zrozumieć, że ta wrogość wobec Polski, a pełne poparcie dla niemieckiego imperializmu — niezależnie od tego, kto go w danej chwili reprezentuje — leży już w tradycji polityki watykańskiej. Oto np. rok 1920. Na Górnym Śląsku odbywają się przygotowania do plebiscytu, którego losy zależą w dużym stopniu od stanowiska hierarchii kościelnej. Watykan jest bez reszty po stronie niemieckiej.

(dokończenie na str. 11-iej)

BERTOLT BRECHT

Przełożył JACEK BOCHEŃSKI

PIEŚŃ O PRZYSZŁOŚCI

Byli możni carowie, rosyjscy monarchowie, co rządili szeroko i siedzieli na tronach w brylantowych koronach i kark ludu deptali, mieli złote karety, jedli ptasie pasztety, widziało ludzkie oko, że krwawili niewinni a chłostał ich inni i carowie się śmiali.

Lecz nastał dzień i działo się inaczej, bo krzywdy czas był po tysiącu lat skończony, i przyszedł kres cierpieniom, a nad spichrzem i ziemią wysoko powiał sztandar, a sztandar był czerwony.

Żyli w Polsce hrabiowie, książęta i panowie i pycha ich nadęła, bogactwem się chępnili i wojny prowadzili i szła husaria gniewna, lecz brakło panom męstwa i nie było zwycięstwa i wnet Polska zginęła, a chłopci wlekli plugi i minął wiek i drugi i plugi były z drewna.

Lecz nastał dzień i działo się inaczej, bo krzywdy czas był po tysiącu lat skończony, i przyszedł kres cierpieniom, a nad spichrzem i ziemią wysoko powiał sztandar, a sztandar był czerwony.

Mieli w Chinach handlarze, nieprawi gospodarze, wojsko głodnych piechurów, byli syści, otyli i pracą się brzydzili, a lud służył w pokorze. Chłuski lud kolorowy, czteryście milionowy, zżerało tysiąc szczurów, bo handlarze otyli przyjaciół zaskarbili panujących za morzem.

Lecz nastał dzień i działo się inaczej, bo krzywdy czas był po tysiącu lat skończony, i przyszedł kres cierpieniom, a nad spichrzem i ziemią wysoko powiał sztandar, a sztandar był czerwony.

Kiedy zaś my na wschodzie w hitlerowskim pochodzie, przez wodzów wzięci w jarzmo, grabiliśmy swych braci, jak przykazali kaci, starto nas pod Kaukazem, i kto nie poległ razem z czołgami i żelazem, godzinę cierpi straszną, a już nowych żołnierzy inny wódz do grabieży wzywa nowym rozkazem.

Lecz nastał dzień i dzieje się inaczej, bo krzywdy czas jest po tysiącu lat skończony, i przyszedł kres cierpieniom, a nad spichrzem i ziemią wysoko wieje sztandar, a sztandar jest czerwony.

LESŁAW M. BARTELSKI

ilustrował M. RUDN

WYBORY*)

Wybory dobiegały końca. Komisja, zebrana w małym pokoiku, przy sali, obliczała głosy. Ludzie niecierpliwili się, zebrań się przeciągało. Ciągłe ktoś otwierał drzwi i zaglądał, czy już. Stary Lewicki poszedł dowiedzieć się, gdyż pożyty swój czarny piśniowy kapelusz do zbierania głosów i teraz był pełen obawy. Andrzej Nieszpor, siedzący za stołem i zapisujący wyniki wyborów na kartce, odpowiedział opryskliwie: — Dostaniecie go zaraz. Już kończył!

Po ruchu warg sołtysa i Zalewskiego było widać, że liczą. Mała lampka naftowa filowała, kopiąc pod sufitem. Za oknami wiał wiatr, bijąc deszczem o szyby. Lewicki cicho przysnął drzwi i wrócił na salę.

Kubas siedział bliżej wyjścia razem z Jamiółem. Rozmawiali półgłosem, w półmroku migotały po ścianach kopiste cienie ludzi. Jamiół był błądliwy i podenerwowany; lekał się wyniku wyborów. Parobczacy spod ściany grali w karty, głośno, bez skrępowania licytując. Szymczyk, przewodniczący zebrania, usiłował przez pewien czas zaprowadzić spokój, lecz machnął na wszystko ręką i rozmawiał z delegatem powiatowym. Stary Nieszpor pochylił się do przodu i coraz to patrzył na zegarek, sięgając do kieszeni. Był niby obojętny, lecz poznać po nim było, że jeszcze kipi od złości. Oparł głowę na dłoniach i ponuro spoglądał na brudną podłogę. Deszcz siekał o dach remizy, gruboziarnisty, trzaskając falami o pape, wiatr targł okiennicami i z szumem gwizdał w wierzycie remizy strażackiej. Od wejścia ciągnęło po nogach chłodem, raz za razem ktoś wychodził i za chwilę wrócił z powrotem, klnąc na psią pogodę.

Kubas nie wytrzymał. Zerwał się z miejsca i podszedł do Wójcika.

— Dlaczego światła nie ma? — spytał.

— Cholera, ja wiem? Popsuło się — zaklął kierownik. Był markotny, pocierał czerwone od przepicia oczy. Chciało mu się spać. Zbojętniał na wszystko.

— Akurat w taki dzień — podejrzliwie dopytywał się Kubas. — Poruszę to na zebraniu Rady Gminnej.

— Takiś mądry, sam napraw — mruknął Wójcik, przeciągając się i ziewając. — Panów do rozkazywania nam nie potrzeba.

Kubas powrócił na swoje miejsce. Skręcił papierosa i zamyślił się. Potem wyciągnął pudełko i poczęstował Jamiola.

— Bierście prezese — tytułował go przychylnie.

Chłopi siedzący obok uśmiechnęli się nieznacznie, lecz Jamiółowi nie było do żartów. Przemykał, że zapalił papierosa i przypominał sobie wypadki sprzed niespełna godziny. Sprawozdanie ustępującego Zarządu powitano milczeniem. Nikt nie potrafił rozeznaczyć się w cyfrach i wykresach. I wydawało się, że zebrani nie będą mieli wiele do powiedzenia.

nia. Świdorski pochylił się ku niemu i szepnął:

— Umieją to robić, co?

Pod ręką trzymał zawiniątko. Tymczasem pierwszy niespodziewanie dla wszystkich zabrał głos młody Ślusarczyk. Musiało go coś dobrze gniesć na sercu, skoro zdecydował się na publiczne wystąpienie. Mówił krótko, lecz wystarczająco to co powiedział. Cała sala zaczęła mu bić br-

wet parobczaki spod ściany, którzy od rana siedzieli na poczęstunku u Urbana, przedrzeźniał go, głośno czkając i pobekując. Przegrany budził odrazę. Spod ściany nagle ktoś podniósł rękę. Szymczyk powiedział głośno:

— Proszę!

Podszedł do stołu, szybko, sprężysto, wywołując zdziwienie wśród obecnych. Był to Andrzej Nieszpor,



wo, niektórzy zreflektowali się po niewczasie. Wójcik siedział, pochylił się i czerwony na spoconej twarzy zagadywał delegata powiatowego. Ślusarczyk wytknął braki w sklepie spółdzielczym, przeciwstawiając mu nieźle prosperujący sklep Urbana. Narzekał na porządku panującą „u pani Ambroziakowej”, jak wyraził się z ironią, na brak towarów, jakby umyślnie nie sprowadzanych, na rozdział lepszych towarów, które po kątach, jak ogólnie było wiadomo, rozchodziły się „dla znajomych”. — Prosiłem się o hacze — mówił — to dla mnie nie starczyło. Ale w końcu dostałem. Nie u Ambroziakowej, nie! Miastowi przywieźli. Znaczący się robotnicy... Cała sala biła za każdym słowem brawo. Kiedy skończył, zapowiedział zebranym, że na taki Zarząd, jak był, nigdy by już więcej nie głosował. — Czas, powiedział, abyśmy już gospodarzyli sami.

Jamiół podziwiał odwagę młodego. Był to z pozoru milczek, niezły chłopisko, ale trzymające się z dala od innych, zapracowany na gospodarstwie i obarczony liczną rodziną. To co powiedział, właściwie innym wyjął spod serca. Ciche narzekania po wsi i głośne utarczki w sklepie nie doprowadziły do niczego. A wszystko przez to, że Zarząd lekceważył naród, pomyślał z goryczą Jamiół.

Przemówienie Ślusarczyka wywołało burzę. Przeważały się losy ustępującego zarządu; nikt go nie bronił, wszyscy atakowali. Świdorski zacieśniał rece, ciesząc się i podgadując. Wójcik, niezdarnie budujący zdania, umyślnie udający zalekionego i żałożonego, niejasno wystawiający się, budził powszechny śmiech. Na-

najstarszy syn bogacza, z rzadka zjawiający się we wsi. Szedł wysoki, w kurtce żołnierskiej, wyprostowany, świecący nowymi cholewami „oficerka”.

Kubas zerwał się z miejsca i krzyknął:

— Dla takich jak ty, tu miejsca nie ma! On nie nasz! Poparł go Jamiół i inni gospodarze, parcelanci i ci z Marcyszewca Starego. Szymczyk uspokoił ich ruchem ręki. Sięgnął do papierów i odczytał uroczyste:

— Jest. Nieszpor Andrzej. Syn Aleksandra. Proszę. Jest członkiem...

Kubas usiadł. Andrzej Nieszpor popatrzał po zebranych, był to wysoki, przystojny mężczyzna, o rysach jednak dość ordynarnych. Wtulił głowę w ramiona, nieco garbiąc się i spoglądając spode łba, zaczął mówić.

— Obywateli! Przed chwilą słyszeliśmy piękne przemówienie — rozpoczął, krzywiąc się. Głos miał dzwiniący, słuchało się go z przyjemnością. — Gdybyśmy nie znali naszych wiejskich stosunków, pomyślelibyśmy, że obywatel Ślusarczyk ma rację. Nawet by tej mowie należało przyklasnąć. Ale jak to jest po prawdzie, to wam w krótkich słowach opowiem. Wszyscyśmy tu na sali chłopcy, z dziada, pradziada. Panów tutaj nie ma! Przeglaliśmy ich precz w 45 roku i słusznie. Bo nam ich nie potrzeba. Każdy z nas ma ułożone ręce od pluga, ale są tacy co wolą gardłować niż pracować. Mówię jest zawsze ławie...

Ci spod ściany zareagowali śmiechem. Potakiwano Andrzejowi.

...lekkie jest mówić, ale ciężiej pracować. Są tacy, ja ich nie wymieniam, komu — poprawił się — którym wydaję się, że z biedoty do bogactwa na cudzych karkach wyjadą. Albo przez ożenek morgów sobie przyczynia. Niczego od nich nie żądamy tylko tego, aby sami popracowali, nie poganiali do roboty swoje matki czy żony...

— Do mnie pije — szepnął Świdorski do Kubasa.

Mówca na chwilę zatrzymał się. Popatrzał przenikliwie po zebranych i ciągnął dalej:

— „Nie będę was tu nużył. Ale powiedzcie sami, jak to stały ucieka się do pomocy drugich. My jesteśmy chłopcy i to nam wystarczy. Nie jedziemy do miasta pomagać robotnikom, i nie chcemy aby robotnicy nam pomagali. Jaka to jest ta pomoc? U nas, jak jeden do drugiego przyjdzie konia pożyczyc albo ziarno, to zawsze dostanie...”

— Na prezent! — krzyknął Jamiół.

— „A cóż we wsi zrobili robotnicy? — ciągnął niezmiennie Nieszpor. — Cóż wnieśli do wsi prócz zamętu i niesnasek? Do tej pory żyliśmy jak bracia, a jak poniektórym zachciało się sprowadzać obcych, nastąpiła kłótnia w rodzinie...”

Chłopi zaczęli klaskać, idąc za przykładem tych spod ściany, którzy z radością nie dawali mówcy dojść do głosu. Świdorski uśmiechał się szyderczo.

— Ja już kończę — zapowiedział młody Nieszpor. — Popatrzcie co robotnicy dobrego zrobili. Rozkreślił stary siewnik i nie potrafili go naprawić. Gdybyście do nas przyszli, dalibyśmy prawdziwym specjaliści to m do naprawy, ale czy kto widział stare rupiecie naprawiać? Chcą zrobić most, to robią na cudzym gruncie. Zobaczcie jeszcze, ile sobie za to każą zapłacić? Jak i za te hacze, co poniektórym przywieźli! Tak, nikomu nie pomogli, wszystkim wzburyli... Niech wracają, skąd przyjechali — wykrzyknął — bo jak nie to my im pokazemy drogę!

Przeciskał się wśród gwaru i krzyków na dawne miejsce. Partyjni i ludowcy zaczęli krzyczeć przeciwko niemu, gwizdali, tupali nogami w podłogę. Parobczacy pod ścianą walił w dlonie, mało im nie popuchły. Nikt nie słyszał wołania Szymczyka. Delegat zwrócił się do Ślusarczyka i po cichu spytał:

— Czy to... coście mówili, macie na to dowody?

— Świadcówkę są, proszę obywatela delegata!

— I to tak stale? Co dzień?

— A jakby — skinął głową.

Świdorski podszedł do stołu z zawiniątkiem. Gdy zebrani zobaczyli go, zrobiła się momentalnie cisza. Wszyscy byli w niego wpatrzeni, Tomasz czuł jak przeszywają go spojrzenia.

— Ja do tego sprawozdania, com go słyszał od zarządu, chciałem odrzucić... — wsadził rękę do zawiniątka i wyciągnął czarny przedmiot — ...buty!

Postawił je ze spokojem na stole, odsuwając nieco lampę na bok. Szymczyk skrzywił się i przesuwał się z krzeselkiem. Sala milczała. Wpatrywała się w buty, rysujące się na ścianie jak pnie olbrzymiego drzewa. Świdorski popatrzał i spokojnie dodał:

— Wiecie, te buty dostałem nie dawno od zarządu na przykład. Nawet nie miałem czasu spytać — za co to? i zapłacić. Bo to wiecie sami: jak dają, trudno nie brać. Ale odaję...

— Dostałeś, jeszcze ci źle — krzyknęto spod ściany.

— Oddaję, bo chcę aby ci wszyscy, którzy też dostali, zwrócili. Wtedy okaże się jak sprawiedliwie zarząd te buty rozdzielił, komu też, najbardziej potrzebującemu, buty ofiarował...

Sala milczała, czekając co będzie dalej. Świdorski stanął przy stole i podparł się pod bok.

— Nikt się nie zgłasza z oddawaniem butów? Czy wy, obywateli Nie-

szpor, potrzebujecie ich tak bardzo? — Stary wystękał coś pod nosem niezadowolony.

— A wy obywateli Zalewscy — zwrócił się do jednego z gospodarzy Świdorski — przecież was stać i na lepsze?

— A pan — ukłonił się, aż sala wybuchnęła śmiechem — panie prezese Wójcik? Dobrze się w tych butach chodzili. Nie spróbował pan jeszcze?

Sala zaczęła się śmiać. Śmiech rozładowywał atmosferę napięcia. Świdorski odwrócił się do tyłu i kiwając głową dodał:

— A wam, towarzyszu Szymczyk, czy dobrze się w tych gumniakach po weselach chodzi?

Wszyscy zaczęli klaskać. Świdorski uśmiechnął się, było widać, jak zmieniła mu się twarz. Steżały rysy, jakiś przykry grymas osadził się wokół ust.

— Obywateli! — rozpoczął. — Słyszeliśmy piękne sprawozdanie. Myślałby kto, że nam papierami życie przesłonią. Ale co się okazuje? Wszystko, co trzeba jest, ale dla wybranych. Ja dostałem buty, abym milczał. Ale wierzcie mi, ja milczeć nie mogę. Bo to boli. Dość już byliśmy oszukiwani. Jeżeli teraz nie zaradzimy, to zawsze te buty będą szyć w niepowołane ręce. Zawsze dostaną je nie ci, którzy potrzebują, lecz ci, którym najłatwiej jest je kupić. Spytałbym pana Wójcika, komu rozdano pieniądze na wiosenne siewy i nawozy? Ale po co? I tak nam odpowie, że chłopom z naszej wsi. I my też wiemy, że chłopom, ale ja i m chłopom? Tego musimy się, obywateli i towarzysze, nauczyć. Rozróżnić swoich od tych, którzy chcieliby na nasz koszt żyć. Obywateli, dzisiaj wybierzemy nowy zarząd. Ten zarząd musi być nasz, tych najbardziej potrzebujących, prawda obywateli delegacie! — nieco ironicznie zwrócił się Świdorski do zasiadającego w pierwszych rzędach przedstawiciela Zarządu Powiatowego. — Nie czekając na odpowiedź dodał: — Na prezesa wybierzemy w tym roku Jamiola Antoniego. On to od bogaczy zboże wyciągnął, on teraz przy moście ofiarnie pracuje!

Zebrani zaczęli klaskać, Świdorski wracał na miejsce. Zawstydzony Jamiół gwałtownie wstał i w ławy. Zaczęli zabierać głos inni. Zebranie przeciągało się. Wszyscy szli przeciw wyżyskiwaczom. Wydawało się, że klaszka bogaczy będzie całkowita. Andrzej Nieszpor latał od jednego do drugiego gospodarza i coś szeptał. Kiwali potakująco głowami, ale

nikt na środek nie wychodził. Wreszcie sala zaczęła się domagać przystąpienia do wyborów.

Naraz otworzyły się drzwi, jakby je ktoś wyważył i prąd zimnego powietrza wtargnął w skisłość zaduchu i dymu. Od progu ktoś spytał. — Świdorski jest? — Jest, jest, zamykaj drzwi — krzyczano zewsząd. Podszedł do stołu dwunastoletni chłopiec cały przemoczony, ubłocony i szybko powiedział, żeby pan sekretarz czym prędzej pospieszył do domu, bo matka zastabla. Świdorski podniósł się niespokojny, odwołał na bok Kubasa i Jamiola, powiedział im parę słów i wyszedł na deszcz.

Wśród rozgwaru poprosił o głos starszy Nieszpor. Nie podszedł do stołu, stanął między rzędami ławek i krzyczał pełnym głosem:

— Oto kara boża na tych, co do kościoła nie chodzą, księży nie uznają, w niedzielę pracują. Tak ich samych, jak i ich rodziny, pan Bóg każe. Czas by bracia wybierać tych, nad którymi jest prawdziwe błogosławieństwo boskie, tych, którzy naprawdę są Polakami i katolikami!

Jamiół otworzył oczy. Wydawało mu się, że widzi przed sobą twarz pokrzykującego Nieszpora, zobaczył tymczasem Kubasa, który pochylając się nad nim, potrząsał go za ramię i pytał: — Spisz? Jamiół zaprzeczył, zgaszony papieros tkwił mu w wargach. Kubas dodał ciszej, prosto do ucha Jamiółowi. — Co też mogło Tomaszowi wypaść?

Nagle drzwi wejściowe otworzyły się z głośnym trzaskiem, że omal nie zgasała lampa. Świdorski, zmoczony, niemal siny, stanął w progu krzyżując: — Stać, stać! Nie oddawajcie głosów! To oszuści, podstępem idą!



Był bez czapki, włosy skręciły mu się w kosmyki, po twarzy spływała woda. Wygrażał komuś pięścią, jak pijany, podbiegło do niego paru ludzi, z końca sali przeciskał się Kubas, a za nim Jamiół. Szymczyk skulił się za stołem, Marcysia przywabiał gwar, ale zobaczywszy Świdorskiego, zamknął czym prędzej drzwi od pokoiku. Andrzej Nieszpor podskoczył ku Świdorskiemu i złapał go rękami za kłapy półkożuska.

— Rozkazujcie ci się zachciewa, skurwysynie?! — ryczał na całe gardło. — Dość już kramu narobiłeś. Nie bądź za mądry, zamętu nie wprowadzaj!

— Stać, stać — szarpał się Świdorski. Uwolnił prawą rękę z dłoni Nieszpora i uderzył go pięścią w twarz. Tamten zachwiał się i krzyknął: — Bijesz, bijesz? Było w tym głosie tyle wściekłości, że ze wszech stron podbiegli aby ich rozdzielić. Lecz Nieszpor był szybszy, podskoczył do Tomasza, zczepił się, zaparł twardo o grunt, bijąc gdzie

popadnie. Kubas chciał ich rozdzielić, ale byli tak spleceni z sobą, że swym ciężarem odepchnęli go pod ścianę. Świdorski wyrwał się, odskoczył do tyłu, Nieszpor ruszył na niego z furją. Tomasz zatrzymał się, ze spokojem uderzył go z całą siłą w podbródek, aż tamten zachwiał się. Wtedy Świdorski podskoczył i dołożył mu z drugiej ręki, bijąc jednocześnie w dół. Nieszpor upadł na podłogę, brzygnąc krwią. Szymczyk bełkotał. — Co wy, co wy? Uspakajcie zła stołu, trzymając w ręku lampę. Stary Nieszpor, krzycząc

towarzyszu — gorąco ścisnął Tomaszowi — takie lisy z nich mnie otumanili! Widzę, że rację waszej stronie.

Świdorski stał za stołem i uśmiechał się. — Gdzieście byli?

Delegat dodał. — Poszedłem zrobić, co ze światłem. Łobuzyjorki wyłączyli.

Lesław M. Bartelski

*) Fragment powieści, która ukazała się w wydawnictwie Państwowego Instytutu Wydawniczego.



„ŻYCIE LITERACKIE”

Nowy ilustrowany dwutygodnik społeczno-literacki odzwierciedla współczesność w prozie artystycznej, poezji, reportażu i satyrze. Oceńa nowe wydarzenia w dziedzinie literatury, teatru, filmu, muzyki i sztuki. Zapoznaje z życiem kulturalnym Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej. Omawia aktualne problemy upowszechnienia kultury, ukazuje w nowych ujęciach postępowe tradycje przeszłości.

W najbliższych numerach zamieszczają swe prace:

L. M. Bartelski; Aleksander Baumgarten; Kazimierz Brandys; Marian Brandys; Jan Brzechwa; Jan Brzoza; Kornel Filipowicz; Ludwik Flaszen; Zygmunt Gren; Jerzy Hordyński; Zdzisław Hierowski; Maria Jarochowska; Andrzej Kijowski; Jalu Kurek; Leopold Lewin; Jerzy Lovell; Władysław Machajek; Henryk Markiewicz; Ryszard Matuszewski; Gustaw Morcinek; Hanna Mortkowicz-Olczakowa; Zofia Nałkowska; Stefan Otwinowski; Adam Polewka; Marian Promiński; Jerzy Putrament; Stanisław Skoneczny; Włodzimierz Słobodnik; Wilhelm Szewczyk; Wiesława Szymborska; Anna Świrszczyńska; Henryk Vogler; Jan Wiktor; Witold Wirpsza; Adam Włodek; Andrzej Wydrzyński; Stanisław Wygodzki; Kazimierz Wyka; Jerzy Zagórski.

Adres redakcji: — Kraków, Rynek Główny Nr. 11 — 1 p., Oddział w Katowicach, ul. 3-go Maja 36 a. Oddział Związku Literatów Polskich. Adres Administracji — Kraków, ul. Wiślna 2 — telefon Nr. 588-41 i 536-23.

Warunki prenumeraty miesięcznie 1.50 zł, kwartalnie 4.50 zł, półrocznie 9 zł, rocznie 18 zł. Cena pojedynczego egzemplarza — 75 groszy. Należność za prenumeratę na miesiąc następny należy wpłacić do 20 bm. na konto PPK „Ruch” — Oddział prenumerat PKO Nr IV — 8725.

PIERWSZY NUMER UKAŻE SIĘ Z DATĄ 4.II.51 R. OBJĘTOŚĆ 16 STRON.

LISTY OCHOTNIKA

Redakcja dwutygodnika „Chiny Ludowe” za zezwoleniem rodziny pewnego młodego studenta medycyny, ochotnika walczącego w Korei — opublikowała jego listy.

Pierwszy list tego ochotnika nosi datę 15 listopada i został napisany jeszcze w Akademii Medycznej w pobliżu Pekinu. List jest adresowany do kolegi. Oto jego treść:

Mój drogi Hwa-nien,
Zdecydowałem się pójść walczyć na Koreę jako ochotnik. Pozostało niewiele czasu do odjazdu i nie zdążyłbym pojechać do ciebie, chociaż tak bardzo tego pragnę. Przed odjazdem mamy jeszcze wiele zebrań, kilka odpraw i posiedzeń grup dyskusyjnych.

Wiem, że moja decyzja ucieszy cię. W ostatnim liście pisałeś o oburzeniu, jakie ogarnęło cię na wieść o barbarzyńskiej agresji amerykańskiej w Korei. Wspomniałeś także, że chętnie poszedłbyś walczyć jako ochotnik przeciw napastnikom w Korei.

Dużo czasu zajęło mi pisanie listu do matki, w którym starałem się wyjaśnić jej dlaczego postanowiłem walczyć jako ochotnik. Wybacz, ale nie mam czasu, by równie wyczerpująco list napisać do ciebie. Zresztą, mówiliśmy przecież często o tym, że matce trzeba jak najwięcej wyjaśnić, że trzeba uświadamiać ją. Nie jest już przecież młoda. Przeczytaj list do matki, który załączam. Więcej napiszę z Mukdenu, jeśli tam zatrzymamy się.

Hwa-czang

Drugi list adresowany jest do matki i nosi tę samą datę. Oto on:

Kochana Mamo,
W Akademii już pogaszono światła i ten list do ciebie piszę przy blasku świecy, podobnie jak pisałem do ciebie przed dwoma miesiącami o paradzie i uroczystościach 1-go Października, w których brałem udział. W owym liście pisałem ci też o mojej narzeczonej Hsueh-fang i o naszych planach małżeńskich. Odpisałaś, że te sprawy bardzo cię interesują i że chciałabyś zobaczyć Hsueh-fang, kiedy przyjedziesz do Pekinu.

To było dawno. Kiedy pisałem do ciebie, mamo, byłem przekonany, że Amerykanie i Czang-Kai-Szek zrozumieją nareszcie, iż lud wyrzuci ich z kraju na zawsze. Nie przypuszczałem, że znowu będą nam chcieli brzydzić. Jednak sytuacja światowa szybko się zmieniła od czasu, kiedy otrzymałaś mój ostatni list. Wielka przyszłość Chin jest coraz jaśniejsza, nie jej nie przyciemni, ale tej przyszłości musimy bronić. Gdybyśmy nie zatrzymali Mac Artura teraz, kiedy jeszcze stoi przed programem Chin, przyszłość nasza mogłaby być zagrożona, przyszłość twoja, przyszłość siostry Lan-ying, mojej narzeczonej Hsueh-fang i każdego Chińczyka. Chyba zrozumiesz, dlaczego jadę walczyć na Koreę jako ochotnik.

Nie wiedziałem jak moje postanowienie przyjmie Hsueh-fang. Niepotrzebnie się martwiłem. Ona również zgłosiła się jako ochotnik. Ma nadzieję, że przyjmą ją albo jako pielęgniarkę albo do Korpusu Kulturowego. Będzie z niej pociecha. Dzieciuchy na dobre pracuje. Zabieram ze sobą ciepłą bieliznę, gdyż w Korei jest teraz zimno. Biorę też kilka ksiązek medycznych i powieść radziecką: „Jak hartowała się stal”. Poza tym staram się podróżować bez bagaży. O moje pozostawione rzeczy będzie dbała uczelnia.

Kocham Cię! Dobranoc mamo, Hwa-czang.

Trzeci list Hwa-czanga do matki był wysłany cztery dni później z Mukdenu.

Kochana Mamo,
Chyba już otrzymałaś list, który ci wystąpił przez Hwa-nien, przed wyjazdem z Pekinu. Jak bardzo chciałem żebyś widziała wiecie i festyny, na których nas przyjmowano. Oddział Chirurgiczny wydał przyjęcie pożegnane, podobnie jak wszystkie inne oddziały. Wszystkim ochotnikom przypięto do piersi duże czerwone piwonie. Gdy weszliśmy na salę, już pełną ludzi — wszyscy wstali i powitali nas radośnie. Potem przewodniczący Związku Studentów otworzył uroczystość, intonując hymn narodowy. Wszyscy śpiewali i sala rozbrzmiewała potężnym echem „Marsha Ochotników”. Chociaż hymn ten powstał przeszło 10 lat temu, podczas wojny z imperializmem japońskim, jest aktualny i teraz, w dniach walki z imperializmem amerykańskim.



Studenci chińscy, ochotnicy na front koreański

Wydaje się, że imperialiści nie wiele nauczyli się z ciągu ostatnich lat. Powinni pamiętać, że my, Chińczycy jesteśmy mocni i zjednoczeni. Nasi profesorowie i koledzy studenci wygłaszali mowy, a pewien starszy student, który zajmuje się potrosze poezją, recytował swój wiersz napisany dla ochotników.

Na uroczyste pożegnanie profesorów, uczelni i kolegów studentów odpowiedział jeden z nas, 22 ochotników-studentów. Nie notowałem jego słów. To co powiedział brzmiało mniej więcej tak: Musimy iść na Koreę. Mamy teraz ojczyznę, w której robotnicy mają swoje prawa i fabryki, rolnicy swoje gospodarstwa, ci, których dotychczas prześladowano, mają swój prawdziwy dom. Musimy tego bronić. W czwartek (dzień, w którym mieliśmy odjechać), przyszedł do nas oficer-lekarz, dawny lekarz partyzantów, posiadający wiele doświadczenia, gdyż przez lata operował i opatrywał patriotów chińskich, rannych w walkach z Japończykami. Udzielił nam wiele cennych wskazówek i polecał, aby je dobrze pamiętać w czasie pełnienia obowiązków lekarza na froncie. Ostrzegł także, by nie tracić zimnej krwi i cierpliwości w momentach różnych niespodzianek, jakie mogą się na froncie przydarzyć.

Czasem może braknąć lekarstw, jakimi lekarz posługuje się w normalnych zajęciach. Na froncie trzeba często umieć radzić sobie bez nich. Bombardowanie nieprzyjacielskie może przerwać dopływ prądu elektrycznego w momencie kiedy się przeprowadza potężną operację. Nie trzeba się tym zrażać i operację przeprowadzić do końca, mimo największych trudności.

Po śniadaniu wyjechaliśmy na stację kolejową. Przed dworcem czekały tłumy ludzi, koledzy studenci i orkiestra studentów. Orkiestra grała a w przerwach ludźle wznosili okrzyki: Precz z imperializmem amerykańskim! Obronie wolność i niepodległość ludu koreańskiego! Chociaż władze uczelni zezwoliły tylko trzydziestu osobom na odprowadzenie nas, na dworzec przybyły tłumy kolegów. Wśród nich zauważyłem narzeczoną Hsueh-fang. Biedaczka była rozczarowana, gdyż tym razem nie pozwolono jej jechać na Koreę. Ale kiedy pociąg ruszał, powiewała niebieską chusteczką i wołała: zobaczymy się w Korei!

W ogrzewanym wagonie ochotnicy rozmawiali i żartowali. Byli wśród nich robotnicy, urzędnicy, sprzedawcy sklepów, ludzie każdego zawodu. Razem śpiewaliśmy pieśni — „Siła w jedności” i „W obronie pokoju”. Słowa tych pieśni nabrały szczególnego wymowy tego dnia.

Pociąg udekorowany przez robotników czerwonymi flagami miał różne wesołe wesoła. Chłopi i dzieci przyjaźnie kiwali rękami i uśmiechali się. Po kolorze ziemi, która stawała się coraz bardziej wapienia, poznawaliśmy, że zbliżamy się do wybrzeża. Później skręciliśmy na północ do Szan-hai-kwan. Czas mijął szybko. Nazwy mijanych przystanków, znamy z dziejów kampanii 1940 roku, kiedy Czang-Kai-Szek przegrywał wielką bitwę o Mukden. 'Krajobraz stawał się górzysty. Byliśmy w Północno-wschodnich Chinach. Wkrótce Mukden. Zatrzymaliśmy się tu przez trzy dni. W Mukdenie zbierają się ochotnicy z całego kraju. Po akcencie poznamy z której części Chin pochodzą. W sklepach i na uli-

cach słychać rozmawiających Szechuńczyków, Hunańczyków, Kantończyków, Fukienczyków. Jak bardzo rozległa i różna jest nasza ojczyzna — i jak zjednoczona — zarazem. Większość wolnego czasu spędzaliśmy na wykładach o Korei — jej historii, geografii i dziejach wojny wyzwolenie. Coraz lepiej rozumiem konieczność obrony Korei przed napastnikami. Korea jest drzwiami do Chin. Zostaje nam także trochę czasu na oglądanie Mukdenu. Mnóstwo olbrzymich fabryk, z kominów unoszą się popyrpusze dymów. Wiemy, że niedługo w całym kraju będzie powstawało więcej i więcej takich fabryk. W przyszłości wszystkie miasta chińskie będą bogate jak Mukden. Pomagając Koreańczykom wypędzić napastników amerykańskich przybliżamy tę przyszłość naszego kraju.

Twój kochający Hwa-czang.

WINCENTY MACKIEWICZ

EPOKA LUDZI PODWOJNYCH

Napisana po „Dzwonach w Bazylei” powieść Louisa Aragona „Piękne dzielnice” *) ukończona została w czerwcu 1936 roku. Ta dawniejsza powieść pisarza, którego „Wielkość i upadek Francji” oraz „Komunistów” pamiętamy dobrze, poświęcona jest krytyce drobnomieszczaństwa francuskiego i stosunkom francuskim z okresu, bezpośrednio poprzedzającego wybuch wojny światowej z r. 1914.

O ile aktualność stosunków politycznych, intryg partii i ugrupowań tamtego okresu nie jest już świeżej daty i raczej może być niezrozumiała dla czytelnika nie orientującego się w machinacjach i rozgrywkach, które wprowadziły Poincarégo na stanowisko Prezydenta Francji, o tyle obraz stosunków społecznych jest w dalszym ciągu interesujący i żywy.

Krytyczny obraz społeczeństwa francuskiego — w głównej mierze drobnomieszczaństwa — zamknął Aragon przede wszystkim w pierwszej części powieści — „Serianne”. Losy postaci i osób tutaj zaprezentowanych widać się później na gruncie paryskim, co konieczne było dla rozszerzenia sceny historycznej. Tutaj jednak, w Serianne, szukać trzeba rodowodu ich zacofania, kłamiwości postępowania, ślepoty poglądów politycznych, reakcyjności w odniesieniu do zagadnień społecznych i socjalizmu.

Zakłamanie tych stosunków, cieniutka warstwa pruderii, nie będąca w stanie przykryć potwornej zgnilizny moralnej, są nakreślone w szczegółach tak, że mechanizm, źródła i przyczyny tego zacofania są widoczne jak na dłoni.

Jest to jeden z etapów dojrzewającego do upadku państwa i społeczeństwa, jeden z etapów wcześniejszych. Późniejsze ukazał Erenburg w „Upadku Paryża” i we fragmentach „Burzy”.

*

Wróćmy jednak z Aragonem do małego miasta francuskiego Serianne, gdzie „życie towarzyskie” osiągnięte już było do pewnego stopnia duchem „demokratycznym” i „przejawiało się to w tym, że urzędników, a nawet niektórych kupców uznano za ludzi z towarzysztwa i przyjmowano w najlepszych domach”.

Te najlepsze domy to rodzina Barrel, Migeon, de Lomenie, rodziny w których właśnie zakłamanie moralne, operetkowy purytanizm i rozprzeżenie obyczajowe walczyły o lepsze z wstecznictwem politycznym i niesprawiedliwością socjalną. Dzieci wynoszą z tych domów pseudo-

P. S. Proszę oddać ten list po przeczytaniu koledze Hwa-nien. Nie mam czasu do niego pisać.

Czwarty list do matki pisany był już gdzieś w Korei, 30 listopada.

Kochana Mamo,

To będzie krótki list. Stoimy w pobliżu nieprzyjaciela. Rzeka Jalu zamarła. Na drugi brzeg przeszliśmy po lodzie. Tu się zaczyna nowy rozdział w moim życiu i w życiu całego kraju. Zamiast czekać biernie na dalsze ataki ze strony amerykańskich napastników, rozpoczęliśmy drugą, ciekawą kontrofensywę. To są nowe, silne Chiny.

Obecnie dostałem przydział do szpitala polowego. Dotychczas nie robiłem żadnych operacji. Mielismy dwie wizyty lekarza koreańskiego, który pracował w klinice w Czangczun. Lekarz ten jest łącznikiem między koreańskim i naszym korpusem medycznym.

Koreańczycy bardzo mi się podobają. Traktują nas zupełnie jak swoich. Gdy jakiś Koreańczyk zauważy kogoś z naszych, podnosi do góry kciuk i pyta gorączkowo: „Mao Tse-tung?” Jeżeli odpowiedź jest twierdząca, to znaczy jeżeli Koreańczyk otrzymuje w odpowiedzi skinienie głową i uśmiech, następuje serdeczny, silny uścisk dłoni. Wymieniamy pozdrowienia i mówimy do Koreańczyków: Kim Ir Sen! Te dwa nazwiska zdają się mieć potężną siłę, tworzącą wielką przyjaźń między nami i Koreańczykami. To odnosi się nie tylko do żołnierzy koreańskich, z którymi się stykamy, ale także do ludności cywilnej. Wszyscy Koreańczycy są dla nas nadzwyczaj serdeczni. Częstość nas i przyjmują jak mogą i czym mogą — papierosami, winem, żywnością. Poważną zaporą w utrzymywaniu i pogłębianiu dobrych stosunków zdawałoby się powinieli być język, różny od naszego. Stosunki między nami i Koreańczy-

kami są codziennie lepsze — a do ich utrzymania w zupełności wystarczają gesty, mimika i uśmiechy.

Ostatniej nocy, kiedy po skończonym dyżurze drzemałem w szpitalu przyszła siostra Koreańska i okryła mnie dodatkowym pledem, mimo iż mówiłem jej, że jest dosyć ciepło. Nie zważając na moje protesty okrywała mnie, mówiąc: Nie gniewaj się, w Korei jest zimno.

A teraz trochę o naszych ochotnikach. W dniu przybycia do Korei, kiedy się zgłosiłem w kierownictwie Kliniki Chirurgicznej, do biura weszło kilku rannych ochotników. Prosił, by ich natychmiast zwolnić ze szpitala i odesłać na front. Byłem bardzo zdziwiony, ponieważ wśród nich był także młody, może trzydzie-

stoletni mężczyzna, mówiący akcentem Hupeh, który całą głowę miał grubo obandażowaną. (Później dowiedziałem się, że w karku tkwił jeszcze odłamek amerykańskiej szrapneli). Ochotnik ten próbował wytłumaczyć doktorowi, że jego na jest „bardzo lekka”.

Próbował też wyjaśnić, jak walczył. Sprawa jest dla niego powrót na front. „Nie przyszedłem tu leżąc, w szpitalu i ciękać się z głową, kiedy wróg jeszcze brudzi nam w izbie”.

Tak, mamo. Niebieskawe miazgi wieczorów zimowych w Korei są na ziemi. Czas zakończyć list. Proszę, odpisz wkrótce.

Twój kochający Hwa-czang

Tłumaczył z dwutygodnika „Peopkulture” Bogumił Horow



Sprawdzanie dokumentów jeńców amerykańskich

Widać na kartach powieści, jak mali ludzie z Serianne, uchodzący za „porządnych”, a w gruncie rzeczy szubrawcy, tacy jak Eugeniusz Mestrance, dr Lamberdese, podprefekt Rateau, ksiądz Petitjean, są ostoją rekinów kapitalistycznych i pływaków politycznych w Paryżu. To ci mali drobnomieszczaństwo z Serianne są obrońcami tych większych, uchwalających ustawy o tryletniej służbie wojskowej i nowe podatki oraz broniących dochodowości własnych fabryk, jak Wisner, przy pomocy łami-strajków, szumowin różnego rodzaju i policji.

*

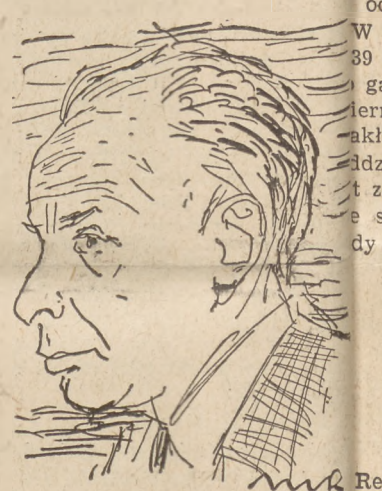
Niby w bogatym scenariuszu filmowym Aragon odsłania przed nami wycinki życia kilkunastu ludzi, a budując krótkie, skoncentrowane rozdziały, żywe i dynamiczne, potęguje wrażenie interesującego filmu, który się toczy przed czytelnikiem na stronicach tej obszernej powieści.

Kompozycyjnie zwarta powieść posiada zindywidualizowane postacie negatywne, właśnie w tym światku małego miasta, a później w Paryżu, który „się otwiera przed przybyciem jak dłoń nieznanego”. Natomiast postacie pozytywne — to właściwie nieznanymi żołnierze wielkiego frontu proletariackiego, dający znać o sobie strajkami w fabryce samochodów Wisnera i w fabryce czekolady Barrela, w manifestacjach przeciwko wojnie w Paryżu, i przeciwko niesprawiedliwości w Serianne.

Pozytywny bohater nie ma nazwiska. Jest nim legion, walczący o lepsze jutro.

Nici walki schodzą się w Paryżu. Tutaj jest ten kłębek polityczny, z którego odwijają własne nadzieje prowincjonalni machery polityczni, tacy jak Barbantane w Serianne. Te czerwone nitki ukazują nieprawidłowe pulsowanie politycznej krwi, za którą się płaci pieniędzmi, a często i życiem niewinnych ofiar. Zgnie krokwie zachodniego parlamentarizmu z tamtego okresu widać wyraźnie w powieści Aragona. Po mistrzowsku ukazano niezliczone oszustwa wyborcze do Rady Departamentu, do Pałacu Burbonów, na krzesło Prezydenta Francji.

W powieści Aragona żyje poza tym i czaruje przede wszystkim Paryż, jak niezauważony bohater. „Jak okiem sięgnąć, śpi znużony, ciężko, bez snów. Paryż, ciało wymęczone, domy, ludzie bez dachu nad głową, rudery, pas fortyfikacji. Paryż, Paryż wykraczający poza siebie samego, pogrążony w bezwładzie przedmiem, pośród sadzy i śmieci, składów węgla, fabryk, nie kończących się strzopów podmiejskich osiedli, gdzie spomiedzy szczyków dawnych zabudowań i parkanów wynurzają się tu i ówdzie jakieś gmachy. Paryż



Louis Aragon

wyciągający ramiona poprzecznice pracy i potu ku poro-

złom, który jest wspomnieniem o szarym świecie. Z licznymi bohaterami powieści wypada nam nieraz poznać z bliska, w sylwetkach jego budowlanych, w charakterystycznych postawach, w codziennym i nocnym życiu, w chwilach, które tylko tutaj rodzą się i umierają.

Obok pasji pokazania całej powieści, Aragon nie raz poznał z bliska, w sylwetkach jego budowlanych, w charakterystycznych postawach, w codziennym i nocnym życiu, w chwilach, które tylko tutaj rodzą się i umierają.

Obok pasji pokazania całej powieści, Aragon nie raz poznał z bliska, w sylwetkach jego budowlanych, w charakterystycznych postawach, w codziennym i nocnym życiu, w chwilach, które tylko tutaj rodzą się i umierają.

Obok pasji pokazania całej powieści, Aragon nie raz poznał z bliska, w sylwetkach jego budowlanych, w charakterystycznych postawach, w codziennym i nocnym życiu, w chwilach, które tylko tutaj rodzą się i umierają.

Obok pasji pokazania całej powieści, Aragon nie raz poznał z bliska, w sylwetkach jego budowlanych, w charakterystycznych postawach, w codziennym i nocnym życiu, w chwilach, które tylko tutaj rodzą się i umierają.

Wincenty Mackiewicz



Serdeczne powitanie ochotników chińskich przez żołnierzy koreańskich

mała kronika

S tycznowa narada Związku Literatów, której szerokie echa odbiły się już w naszej publicystyce, zajęła się z wielką powagą praktyką życia literackiego. Mówiono więc o sposobach badania terenu przez pisarzy, co wiąże się z wiosennymi wyjazdami do fabryk i spółdzielni oraz podsumowuje akcję zeszłoroczną, która przyniosła tak znakomite rezultaty; mówiono dalej o stosunku wydawców do pisarzy, wskazując na nie zawsze akuradne, sumienne i odpowiedzialne traktowanie utworu literackiego przez redaktorów stylistycznych i adiustatorów; mówiło się także o słabościach krytyki literackiej, która nie umie jeszcze postawić sobie dokładnym i wyrazistym językiem, więcej recenzuje niż kształci, bardziej omawia niż wychowuje. Walka o jakość naszej literatury — to najpilniejsze zadanie krytyków i pisarzy; źle byłoby, gdybyśmy otwartą przed pisarzem przebiegłą perspektywę współczesnego życia narodu, przełamawszy jego inteligencję oporą, pomogli mu poznać teren tak, jak poznaje ziemię gospodarz, nie zwrócił uwagi na jego warsztat twórczy. Największym niedostatkim naszej nowej literatury jest lekceważenie mistrzostwa artystycznego, nieporadność, ubóstwo języka, posługiwanie się gotowymi zlepkami języka z gazet; pisarz staje się podobnym do kucharki, która podaje na stół niedogotowane mięso. Nasza krytyka literacka zbyt mało zajmowała się stylem omawianych dzieł; nie zauważała błędów, suchotniczego wystawiania w nowelach, powieściach, lubiła postugiwać się wykrętami jak krowy, nabijała język na kopyta jak szewc, a nie lepiła go jak rzeźbiarz. Nasze wydawnictwa sprzeczały się nieraz z autorami, poprzyniły lub psuły ich styl, anonimowi styliści lekceważyli trud pisarzy. Pisarze zaś gderali niecierpliwie. Nie każdy pisarz umie, jak F. J. diejow, przynajmniej, że z wdzięku słucha rad redaktorów stylistycznych. Jak niedawno wyznał autor „Dziwienstwa”, redaktor stylistyczny zmiotł nalożony naturalizm w „Kłosec”, a w „Młodej Gwardii” autor uwzględnił przeszło trzydzieści poprawek językowych. Jakże dbał o język stary Horacy, jak po dwadzieścia razy przerabiał frazę poetę Puszkin, jak godny podziwu jest Majakowski, który sześćdziesiąt razy przerabiał (co? wiersz? poemat? szkic? nie!) odezwę do robotników; wdziałemsi pokreślone manuskrypty Słowackiego, wiemy, jak o bogactwo języka narodowego zazdrośni był Żeromski, jak nowymi słowami, pojęciami, ideami wzbogacał go Broniewski. Walka o realizm socjalistyczny w literaturze, walka o trwałość i cenność utworu — to również walka pisarza o jasność, giętkość, barwność języka. Bo chętnie nie jest objawem zdrowia, a ubóstwo języka nie kryje bogactwa myśli.

Kto nie idzie naprzód, ten pozostaje w tyle. Kto się nie uczy, ten zapomina tego, czego się już nauczył. Kto nie pogłębia wiedzy o języku,

kto nie wstępuje się w potoczny język narodu, temu nie na wiele przyda się pobyt w terenie. Jadąc do PGRu pisarz musi przygotować się na studia językowe; musi nauczyć się mowy chłopów spółdzielczych, poznać ściśle określenia czynności, narzędzi, roślin; musi wiedzieć, że taka zwyczajna swinia to nie tylko świńka, ale również warchlak, maciora, knur, tucznik, zależnie od wieku, płci i przeznaczenia; że klacz to co innego niż kobyła, a — dajmy na to — konopie to nie tylko konopie, ale również płoskuny, suszki, płonki albo też nasienniki, główce, glawatki, maciorki, zależnie od pici; że trawa — to nie tylko poczciwa, spokojna, nie wadząca nikomu mieszkanca miejskich parków i skwerów, ale istota zmienna, która w PGRach, zajmujących się produkcją nasion, może przybrać nazwy rajgrasu, kupkówki, stoklosy, owsika, tymotki, głowienki, wiechliny, krwawnika... Słowem — świat jest bogatszy niż nasze nowe i powieści, które — jak nieszczęśliwy, ślepy, wychudzony koń — obracają wciąż kierat tych samych kilku setek wyrazów. Niedługo Słowacki pisał:

Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli
głowa;
ale cała bieda, że czasami głowa nie
myśli. Dlatego też autor niniejszego
stwarza z dniem dzisiejszym instytucję „Notatek gaffologa”, której
przewodzenie rad by powierzył drowi
Jerzemu Pomianowskiemu, twórcy
terminu „gaffolog” i entuzjastę poprawnej, jędrnej polszczyzny.

Tadeusz Borowski

NOTATKI GAFFOLOGA

NIE STAWAĆ OBOK UST. „Niech panu ten pocałunek przyniesie szczęście — szepnęła. Oderwała szybko usta i stanęła obok” (z powieści sportowej).

NIE NAPINAC OLCHY. „Olcha był cały napięty, odprężenie jeszcze nie nastąpiło” (z noweli produkcyjnej).

SEKRETARZ JAKO OGRODNIK. „Dyskusja, która toczyła się po referacie ob. sekretarza, uterenowiającego uchwali” (z prasy).

CO SIE... ROZLEGŁA? „Las na lewym zboczu zapalił się, buchnął stamtąd dym, czarny dym, rozległ się trask, łoskot i walenie się drzew” (tłumaczenie z literatury obcej).

W CZYM WOŁAŁY PTAKI? „Wśród galezi młodości ptaków niepokojna wołała w głazach las” (z poematu).

NIE PROFANOWAĆ GROBÓW! „Lokomotywa gwizdając śmiesznie wywołała skromny grób płomienia” (z tego samego poematu).

Ledwo się powstrzymałem, aby nie wymienić nazwisk twórców tych przedziwności języka polskiego. Powiedzieli, bo to przeważnie uznani autorzy, że jestem złośliwy i zazdrosny, tym razem więc porcja anonimowa. Ale nie ręczę, czy długo wytrzymam; przyjemnej lektury oby wam!

Tadeusz Borowski

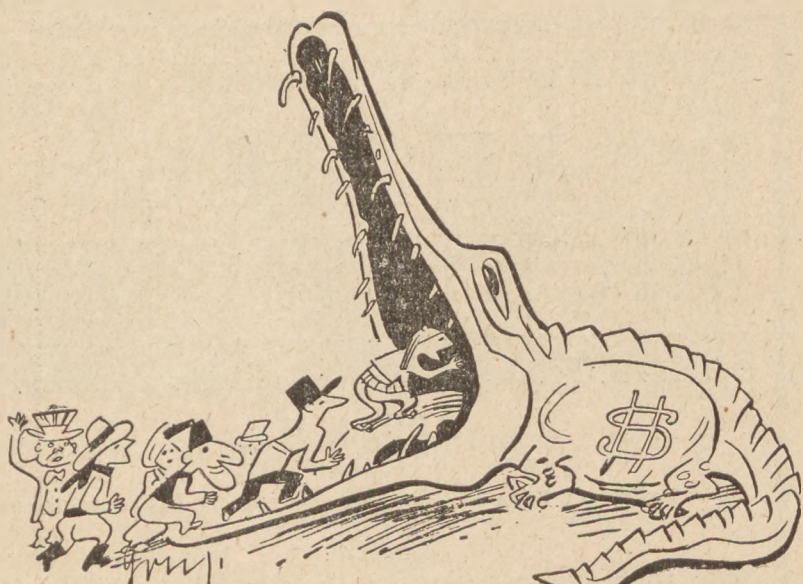
SPROSTOWANIE MAŁEJ KRONIKI

Wydrukowałeś w numerze 2 „Nowej Kultury” kronikę o zamieszczonej w „Szpilkach” wierszu Galskiego, dowiedziałem się od ludzi, że bardzo życzliwych, że wiersz ten został napisany dawniej i z innej okazji, a nie w związku z dy-

skusją o satyrze. Redakcja „Szpilek” wydrukowała go najzupełniej przypadkowo (tak, na z u p e l n i e j przypadłowo) zaraz po dyskusji; tak więc dzieje się najlepiej na tym najlepszym ze światów.

Tadeusz Borowski

Peuny schron



rys. Kazimierz Gruss

— Pójdźcie o dziatki, czeka was wieczne bezpieczeństwo

Przekupstwo
nie jest skandalem

Jedną z osobliwości amerykańskiego Kongresu jest specjalny „Komitet dla badania wpływu korupcji na ustawodawstwo”. Komitet ten „na wszelki wypadek” urzęduje jako stała komisja parlamentarna i, chwalić Boga, nie może się skarżyć na brak zajęcia. Według danych komitetu w okresie od 1 stycznia 1947 do 1 czerwca 1950 roku, 152 koncerny wydały na przekupienie posłów ponad 32 miliony dolarów. Czł. godny przewodniczący komitetu, mł. Frank Buchanan oświadczył, że „korumpowanie władz ustawodawczych jest przestępstwem, którego obroty wynoszą miliardy dolarów”.

W roku 1950 komitet wysłał do 173 koncernów kwestionariusze zawierające pytanie, czy i ile dana firma wydatkuje na „akcje związane z uzyskaniem wpływu na ustawodawstwo”. 21 koncernów wolało tę drażliwą kwestię pominąć milczeniem, reszta przedsięwzięła poddać wymijające lub potakujące odpowiedzi. Jeden z najpotężniejszych trustów, United Steel Corporation, zeznał, że „nie wydaje pieniędzy na cele wymienione przez kwestionariusz”. Nie ma powodu wątpić o prawdziwości tych zeznań, gdyż United Steel, która ma olbrzymi wpływ w rządzie amerykańskim i zajmuje dominujące stanowisko w gospodarce Stanów, nie potrzebuje oczywiście bawić się taką drobnostką jak przekupywanie posłów. Inne natomiast koncerny bardzo cniecie uciekają się do tego środka. Rzecz jasna, że sumy, które płyną z kas wielkich firm do kieszeni amerykańskich posłów są o wiele większe od oficjalnych cyfr podanych przez komitet. Przekupstwo nie jest w Ameryce skandalem, jest — systemem.

rk

JERZY JURANDOT

MÓWCY*)

Zebranie zaczyna się ściśle w terminie, t.j. pół godziny po ścisłej godzinie.

Ktoś wstępne ma słowo, na ogół długawe, ma ono stanowić dyskusji podstawę.

Gdy już słowo wstępne podano przystępnie, prezydium dyskusję otwiera następnie.

Z początku nikt nie chce się zgłosić do głosu, a potem od razu czterdzieści pięć osób.

Trzech mówców lub czterech ma do poczynienia rzeczowe poprawki i uzupełnienia.

I jeszcze dwa głosy — policzymy na plus je — niewiele lecz jednak coś wniosły w dyskusję.

Następnie do głosu dorywa się facet, co z wszystkim się zgadza i daje swój placet.

Gdy ktoś chce się zgodzić, w trzech słowach to zmieści, lecz on rzecz tę czyni przez minut czterdzieści.

Następny gdy mówi, nie tajne nikomu, że całą swą mowę ułożył już w domu.

Choć wszystko to było, on twardy jest gość i odbębni co swoje bez żadnej litości.

Następny z początku wyławia nic wątku, ustawia problemy w właściwym porządku.

By, rzecz pogłębiwszy, móc stwierdzić bezstronnie, że inni dostali mieszkanie, a on nie.

Mijają godziny, o końcu się marzy, i wtedy pejawią się on — Król Nudziarzy.

Zaczyna ab ovo, rozwija na nowo, cykając z namysłem co pięć minut słowo.

Na nowo dosłownie powtarza referat, a ty musisz siedzieć i słuchać rad nie rad.

By myśl swą wyczerpać — od podstaw tłumaczy, nim doznał do myśli — wyczerpał słuchaczy.

Ktoś udął, że zasłabł, i wymknął się — spryciarz! — a reszta została i chce jej się wyć aż.

A on wciąż cytuję z pism różnych i książek, co cytat to mędrzy — lecz nic się nie wiąże.

Już rozpacz cię chwytła, już tracisz nadzieję, a z niego ta woda się leje i leje.

Wtem przerwał. Lecz nie czas na oddech beztróski, bo oto oświadcza, że wysnuć chce wnioski.

Na szczęście prezydium przy wielkim aplauzie ogłasza decyzję, że wnioski po pauzie.

Po pauzie zaś oprócz prezydium na sali już tylko zgłoszeni do głosu zostali.

Rodacy! Zebrania to rzecz pożyteczna, dająca korzyści, ze wszech miar konieczna.

Lecz mówcie żeż krótko, to tylko co trzeba, a życie się stanie przedsionkiem do nieba!

*) Wiersz nagrodzony (III nagroda) na Konkursie — Min. Kultury i Sztuki oraz Sekcji Satyry ZLP — na drobne utwory satyryczne.

„Lebensraum“

Okupacja amerykańska na terenie francuskim rozwija się w iście amerykańskim tempie.

Jedno z ostatnich wybitniejszych osiągnięć w tej dziedzinie miało miejsce w Bordeaux. Oto w gmachu szkoły średniej zarekwirowano dwa pomieszczenia — dwie klasy — przeznaczając je wyłącznie na użytek dzieci oficerów amerykańskich... w liczbie ośmiorga.

Bardzo słusznie: niechaj się wszyscy uczyć — w odpowiednich grupach: tu ośmiu dzieci amerykańskich w dwóch salach, tam reszta dzieci francuskich w pozostałych ubikacjach. No i dorośli też mogą sobie powtarzać (żeby czasem nie zapomnieć) słowa: Nur für... Amerikaner Lebensraum, Herrenvolk, Eintritt verboten itp. g. k.

Czarny kozioł ofiarny

NAACP, organizacja walcząca o równouprawnienie kolorowych ras w Stanach Zjednoczonych, ogłosiła protest przeciwko dyskryminacji rasowej stosowanej na froncie koreańskim... wobec oddziałów murzyńskich. Według deklaracji NAACP dwie trzecie poległych żołnierzy amerykańskich w Korei — to Murzyni. Amerykańskie dowództwo oszczędza swoich białych „boys”, rzucając Murzynów na najniebezpieczniejsze odcinki frontu, lub też osłaniając nimi odwrót wojsk Mac Arthura. Tam gdzie idzie o obsadzenie straconej pozycji, Amerykanie nie uznają żadnych uprzedzeń rasowych. Na tym tle wybuchło w armii napastnictwo w Korei kilka buntów murzyńskich, albowiem czarni żołnierze nie chcieli ginąć dla ratowania białych awanturników. Szczególne poruszenie wywołała sprawa murzyńskiego porucznika Leona Gilberta z Filadelfii, który odmówił postania na niechybny śmierć swoich rodaków. Gilbert, weteran drugiej wojny światowej i ka-

waler kilku najwyższych odznaczeń wojskowych, został skazany na śmierć przez sąd Mac Arthura. Rosnącej fali oburzenia Murzynów i postępowych kół w USA zawdzięczać należy, że w ostatniej chwili wyrok śmierci został zamieniony na dożywotnie więzienie. Dlaczego, zażądał NAACP, jeszcze ani jeden biały oficer nie stanął przed sądem wojennym w Korei, chociaż biali dowódcy mają na sumieniu setki wypadków niesubordynacji? Na to pytanie sztab amerykańskich wojsk interwencyjnych w Korei dotychczas nie udzielił odpowiedzi, gdyż na razie jest zajęty permanentną ucieczką.

Kst.

Aparat telewizyjny

W jednym z ostatnich numerów arcyreakcyjnego tygodnika amerykańskiego „Times” widzimy zdjęcie młodego robotnika ze stanu Pensylwania. Komentarz redakcyjny wyjaśnia, że robotnik ten otrzymał „w dowód uznania od społeczeństwa amerykańskiego aparat telewizyjny”. Za co „społeczeństwo” podarowało Smithowi, tak się nazywa, ów młodzienc, aparat telewizyjny?

Robert L. Smith z miejscowości Middleburg był robotnikiem w przędzalni w swoim rodzinnym mieście. Ukończył cztery klasy szkoły powszechnej, po czym poszedł do pracy, aby pomóc swojej matce, wdowie obciążonej pięciorgiem dzieci. W dwudziestym roku życia Smithowi przydarzył się dramatyczny wypadek, który zmienił jego życie. W Middleburgu i zaciągnął się do wojska, zabawiony wiele obiecującymi plakatami werbunkowymi armii amerykańskiej. Wszystko było bardzo pięknie, dopóki nie polecono Smithowi „bronić Ameryki przed inwazją koreańską”. W tym celu Smith został wysłany do Korei, gdzie zaraz w pierwszym dniu odniósł lekką ranę. Smith był przez jedenaście dni pozbawiony opieki lekarskiej i dopiero po tym czasie odnaleziono go na pół zamrożonego wraz z innymi rannymi. Smithowi amputowano obie ręce i nogi, następnie załadowano go na okręt i przewieziono do Ameryki. Tam zajęły się nim zacne dusze i uszczęśliwiono go... aparatem telewizyjnym.

Robert L. Smith ma dwadzieścia lat i jest kaleką bez rąk i nóg. Ale za to ma aparat telewizyjny. Ameryka jest wielkim i wielkodusznym krajem.

rk

Oreodownik kultury

Nie znamy bliżej amerykańskiego generała Sheetsa i nie możemy nic powiedzieć o jego zasługach „cywilnych” ani też o jego bohaterskich czynach wojennych. Można natomiast śmiało o nim rzec, że posiada tupet nie lada. Objawiając dowództwo nad japońską wyspą Okinawa, Sheets powiedział: „Stany Zjednoczone są zainteresowane w wyspie nie tylko ze względów strategicznych. Zadaniem armii amerykańskiej jest także posłannictwo kulturalne”.

Jak to wygląda w praktyce? W „Times” czytamy o stosunkach panujących na wyspie Okinawa: „Wielu mieszkańców wyspy w ogóle nie ma odzieży i nosi na sobie łachmany porzucone przez żołnierzy”. Kierownik szkolnictwa na wyspie, Japończyk Schumaburo, powiedział kiedyś: „Moi uczniowie stracili wszelką nadzieję. Po co mają się uczyć, jeśli mogą na wyspie znaleźć tylko jedno zatrudnienie — służbę u amerykańskich oficerów?”.

Co się tyczy posłannictwa kulturalnego Ameryki, to znajdujemy w tym samym piśmie następujące wyczerpujące informacje: „W ciągu sześciu miesięcy żołnierze dopuścili się 18 gwałtów, 16 napadów rabunkowych, 33 napadów połączonych z ciężkim uszkodzeniem ciała, którzy dopuścili się tych występów są — jak się wyraża mendant wyspy Okinawa — cjalnymi posłami rządu amerykańskiego”.

„Jaki rząd, tacy „posłowie” „kultura”.

Niedziela, piwo
i angielski parlament

Wiadomo, że Anglicy są pobożni. Brytyjczy generałowie wycajają udają się do kościoła, wydadzą rozkaz strzelania do tujących się Malajczyków, przeto dziwnego, że parlament debatował ośmiem godzinami, czy wesołe miasteczko być otwarte w niedzielę.

W 1951 roku Anglia otwierała swoje granice dla turystów w związku z międzynarodową stacją w Londynie i rząd założył olbrzymi lunapark dla jennienia pobytu gościom. tego nasunęła się wątpliwość, czy wesołe miasteczko może być otwarte w niedzielę.

W Anglii jalamy domy w niedzielę są zamknięte, sale koncertowe, wystawy, jatek stanowią jedynie wyjątek. Premier Attlee przedłożył wniosek w parlamencie, aby lono na otwarcie wesołego czka i w niedzielę. Goście mogli wprowadzić w niedzielę „Hamleta”, ale za to bęgli podziwiać „najgrubszą” świata”. Ten wniosek wywołał zaniepokojenie, gdyż w sprawie wesołego miasteczka w parlamencie nie było ośmiem godzin.

„Przyjęcie podobnych stawy byłoby pierwszym krokiem do wprowadzenia niemoralnych działań paryskiej” oświadczył z konserwatywnych postaw, że zażądał bezwzględnej utraty brytyjskiej niedzieli jako przeciwnik komunizmu.

W troski angielskie zblakły, i ta, że Anglia będzie zmuszona do pierwszego w swojej historii portować węgiel. W końcu zono debatę do następnego dnia i cały świat czeka na liwie, czy wniosek Attlee przetrwa, czy też angielski bastion komunizmu się ostatecznie dy-

Amerykańscy
obrońcy własności

Poczynając sobie we Francji, raz bardziej bezceremonialnie, dze amerykańskie spowodowały włączenie pewnego farmera do parlamentu Zyrondy, ponieważ ren, na którym miał gospodarstwo, został przeznaczony na obsadę skowy.

Z okazji tego wydarzenia zi powtarzają sobie dowcip, „Kor no zamieszczony w „Berlinskiej” „Pod rysunkiem, przedtą tajemną alfabetyczną scenę, następujący dialog:

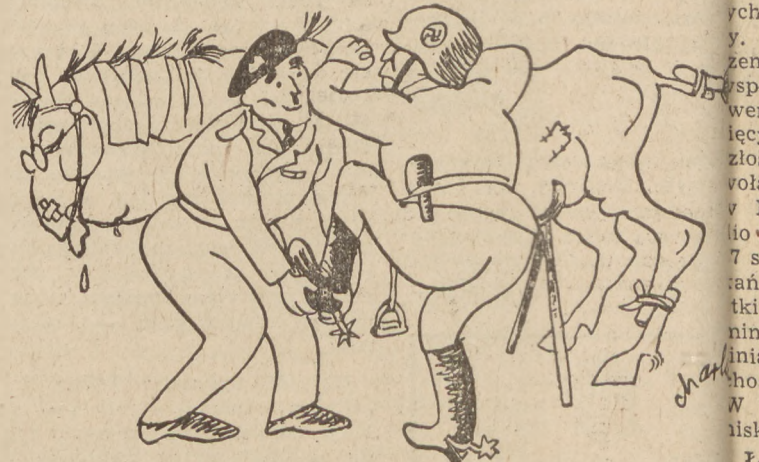
— Ha, kochany gospodarzu, dzie miusieli rozebrać wasm dnyki, gdyż na tym miejscu gl nie urządzić wielkie lotnisko.

— Ale na cóż to?

— No, jakże, to całkiem ja lepiej bronić waszej własności, niż niebezpieczeństwu ze du!

SPROSTOWANIE

Do notatki recenzyjnej z Z. Zwierle pt. „Cudowne miany” (nr 1(41) „Nowej Kultury”) wkładamy się nasze błędy korekty, które nie prostujemy: W wierszu 17 góry powinno być „tlen”, „atom”. W wierszu 18-y powinno być „zastosowanie”, „zastępowanie”).

Anders proponuje Adenauerowi pomoc w walce
przeciw Polsce Ludowej

— Mój koń zna drogę

rys.

Redaguje Zespół.

Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel. 4-01-80, w. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji, ul. Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Prenumerata i kolportaż: P.P.K. „Ruch” Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł. 3.—; kwartalnie zł. 9.—; półrocznie zł. 18.—; rocznie zł. 36.—. Należność przysyłać do P.P.K. Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Cena ogłoszeń: 5 zł. 40 gr. za 1 mm szerokości łamu. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń „Czytelnik”. Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-717/110.

Drukarnia Nr 2 Sp. Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik”, Warszawa Marszałkowska 3/5.